

Podróż trzech Króli

Czy zaryzykujemy żenującą tezę, że popularność orszaków ma coś wspólnego z gwiazdą, którą widać z każdego zakątka ziemi? Albo, że światło na tę dziwną sprawę rzuca wewnętrzny głos, który w kulturze przednowoczesnej nazywano sumieniem? – pyta Dariusz Karłowicz w felietonie, jaki ukazał się w tygodniku „Sieci”

Pierwsza myśl o Betlejem – że straszna dziura! I trudno temu zaprzeczyć. Do Rzymu szmat drogi. Kto by się zresztą wybierał? I po co? Nawet stołeczna Jerozolima, to miasto bez wielkiego znaczenia dla ówczesnej polityki, kultury czy handlu. Ani to wielka Aleksandria, ani uczone Ateny, ani nawet Efez. Cóż dopiero Betlejem!

A przecież – nie tylko w sensie duchowym – Betlejem jest samym środkiem świata. Owszem patrząc na mapę Rzymu trudno wskazać na coś położonego dalej od stolicy, ale przecież Mędrcy nie mieszkali nad Tybrem. Przyszli z drugiej strony – ze Wschodu, który nie łatwo nazwać barbarzyńskim (jeśli oczywiście przyjmą dzisiejsze rozumienie tego słowa). Przecież to tam wszystko się zaczęło – pismo, literatura, cywilizacja, prawo. Mędrcy idą z ziem gdzie powstały zigguraty Sumerów, dojrzała mądrość Chaldejczyków, urosła potęga Persów.

W atlasie historycznym, który abstrahuje od politycznych ambicji państw i cywilizacji widać jak na dłoni, że Betlejem leży w samym sercu starożytnego świata. A dokładniej zarazem w centrum i na obrzeżach. To zarazem pępek świata i miejscina na uboczu.

Kiedy Grek myślał o ukazaniu się boga – szacunek ustępował grozie. Epifania boga jest czymś ponad ludzką wytrzymałość. Niszczy. Spopiela. W Betlejem wszystko jest na inaczej

Komentując odnośny fragment Ewangelii św. Mateusza (2,1-12) teologowie mówią zwykle o potwierdzeniu mesjańskiej godności Dziecięcia (Mi 5,1) i o uniwersalności, którą zapowiada

hołd pogańskich mędrców. Ale przecież nie na tym koniec. To prawda, że u Ewangelisty nie znajdziemy wszystkiego co znamy z apokryfów, podań, pastorałek. Tradycja dorzuciła dużo, ale nie na oślep. Królowie, stajenka, zwierzęta – to wszystko ma sens. Teologiczna wyobraźnia sprawia, że ci którzy „upadli na twarz i oddali mu pokłon” (2,11) stali się figurą wielu najbardziej fundamentalnych paradoksów Dobrej Nowiny. Figurą zarazem przystępną i głęboką, wzniosłą i powszechną – równie trudną i równie zarazem łatwą dla głupców i dla uczonych. Kto jak pewien poeta widzi tu tylko „szczebiotanie o słodkim dzieciątku Jezus w sianku” ten zrozumiał niewiele.

Mówimy epifania i myślimy objawienie, ale przecież pierwotne znaczenie tego słowa, to imponujący wygląd – taki wygląd, który robi wrażenie, budzi szacunek, żąda powagi. Kiedy Grek myślał o ukazaniu

się boga – szacunek ustępował grozie. Epifania boga jest czymś ponad ludzką wytrzymałość. Niszczy. Spopiela. Jeszcze Pauzaniasz ogląda w Tebach pogorzelisko po pałacu Kadmosa, gdzie Zeus ukazał się śmiertelnym w swej własnej postaci. Z jednej strony płomień pioruna, z drugiej kruchy, łatwopalny świat ludzi.

W Betlejem wszystko jest na inaczej. Ale w obrazie „słodkiego dzieciątka” żywa jest przecież pamięć tego pogorzeliska i tej grozy. Jednak tu nawet sianko nie zajmuje się ogniem. Dziwna epifania, dziwnego Boga. Mędrcy, którzy „zobaczyli” Go nie obrócili się w popiół. Choć „widzieli i słyszeli” przeżyli również Łukaszowi pasterze (2,8-20).

Kluczowa dla Dobrej Nowiny kategoria paradoksu – czegoś co jest „paradoksan”, a więc idzie wbrew przyjętym powszechnie mniemaniom znajduje tu wyraz doskonały. Przed bezbronnym „Dziecięciem i Matką Jego” klękają ci, przed którymi gną się kolana. Uważani za mądrych („znających sprawy boskie i ludzkie”), pobożnych, mających władzę i bogatych (a więc samowystarczalnych) właśnie w „słodkim dzieciątku w sianie” widzą Mądrość, Władzę i prawdziwe Bogactwo. Można o tym nie myśleć, można wyśmiać, ale nie wierzę, że można to oswoić.

Od kilku lat w setkach miast w Polsce organizowane są Orszaki Trzech Króli. Miałem możliwość uczestniczyć w powstawaniu tego niezwykle popularnego dziś obyczaju. Wątpię, by ktoś z organizatorów pierwszych orszaków przypuszczał, że uruchamiamy tak potężną lawinę, ale przecież ani przez chwilę nie mieliśmy wątpliwości, że pomysł wypali. Może kiedyś socjologowie naświetlą to zjawisko uczenie wyjaśniając jego społeczne i kulturowe przyczyny. Może wytłumaczą dlaczego choć

*Wątpię, by ktoś z
organizatorów pierwszych
orszaków przypuszczał, że
uruchamiamy tak potężną
lawinę, ale przecież ani przez
chwilę nie mieliśmy
wątpliwości, że pomysł wypali*

z taką pewnością
wieścili
sekularyzację
polskiej kultury, to w
miejsce
prognozowanego
uwiądu objawiły się
nowe, dynamiczne
formy
chrześcijańskiego
życia? Z pewnością
wszystko nam

starannie wyłuszczać. Zanim jednak to zrobią musimy poradzić sobie sami.

Czy zaryzykujemy żenującą tezę, że popularność orszaków ma coś wspólnego z gwiazdą, którą widać z każdego zakątka ziemi? Albo, że światło na tę dziwną sprawę rzuca wewnętrzny głos, który w kulturze przednowoczesnej nazywano sumieniem? A może chodzi o doświadczenie kruchości świata? Potrzebę nawrócenia? Miłość? Nieznośny ciężar win? Nadzieję? Wiarę? Rozpacz? Pragnienie odkupienia i nieśmiertelności? O drogę zawsze trudną i zawsze z daleka, o „mroźną wyprawę” w „najgorszej porze roku”, o taką wyprawę, w którą idzie się wbrew wszystkiemu, i tylko po to, żeby zobaczyć na własne oczy, ukłonić się nisko, a potem nie móc już wrócić do domu tą samą drogą.

Felieton ukazał się w tygodniku „Sieci” nr 2/2018